



Więści z nad Drzewiczki

Kwartalnik historyczny Towarzystwa Przyjaciół Drzewiech

3/47/2003



Zdjęcie z roku 1983. Robotnicy po zakończeniu I zmiany opuszczają fabrykę. Stan zatrudnienia wynosił 3500 osób. W tle słynne logo zakładu i nieistniejący już komin.

Drodzy Czytelnicy!

W roku bieżącym mija **110** rocznica uruchomienia w naszej miejscowości produkcji nożowniczej w fabryce „**Gerlach**” założonej przez braci Kobylańskich z Warszawy. W 2004 roku firma ta obchodzić będzie 180-lecie istnienia. Przypomnijmy!

W 1824 roku na ulicy Pieszej pod numerem 1, w murach kościoła ewangelickiego pw. św. Benona w Warszawie, **Jerzy Samuel Gerlach** założył fabrykę „**Gerlach**”. Jego wnukowie, **Samuel i Bronisław Kobylańscy** przenieśli ją do Drzewicy i rozpoczęli produkcję noży w 1893 roku. Dąty te i rocznice skłoniły nas do zamieszczenia w naszym kwartalniku wspomnień p. **Lecha Pierścińskiego**, by przybliżyć Państwu, a zwłaszcza młodemu pokoleniu wygląd starego „**Gerlacha**”, jaki istniał do roku 1961. Wtedy to rozpoczęto ciągłą modernizację zakładu budując nowoczesne hale a burząc stare, zabytkowe budynki. Trwało to do roku 1984. W 1985 rozebrano 38 metrowej wysokości komin, symbol fabryki. Starzy pracownicy mówili wówczas, że to zły omen dla „**Gerlacha**”. I tak też się stało. Dziś sprywatyzowany zakład zatrudnia poniżej 500 pracowników, a zwolnienia z pracy trwają nadal.

W roku 1936 prywatni właściciele **Kobylańscy** zatrudniali 650 robotników i 15 osób personelu technicznego. Przed wybuchem II wojny światowej stan zatrudnienia zbliżał się do 1000 osób z administracją, a zasięg rynkowy fabryki obejmował cały kraj. **Braci Kobylańskich** stać było na założenie szkoły przyzakładowej, opłacanie nauczyciela i lekarza zakładowego, którego porady były bezpłatne, tak samo jak i lekarstwa. Wypłacano renty wdowie i inwalidzkie. **Kobylańscy** uruchomili magiel i otworzyli łaźnię dla rodzin robotników, organizowali dokształcające kursy wieczorowe, udzielali dogodnych kredytów na budowę własnych domów, które zazwyczaj później częściowo umarzali. Zdolnych uczniów szkoły przyzakładowej posyłali na własny koszt na dalsze kształcenie do Tomaszowa Mazowieckiego. Wspomagali finansowo sklep spółdzielczy „**Świt**”, wypożyczali bezpłatnie salę na lekcje w zakresie szkoły podstawowej. Dysponowali własną remizą strażacką i sprzętem przeciwpożarowym dotując jednocześnie okoliczne strażę ogniowe. Powołali do życia w roku 1924 klub sportowy przeznaczając bezpłatnie na ten cel plac na boisko sportowe.

Wszystko to świadczy, że właściciele fabryki „**Gerlach**” umieli i potrafili łączyć troskę o robotników ze swoim interesem rodzinnym.

Dziś nie stać „**Gerlacha**” na: szkołę przyzakładową, zakładowy ośrodek zdrowia, zakładową straż pożarną, świetlicę zakładową, dętą orkiestrą zakładową, zakładowy klub sportowy, przedszkole przyzakładowe, bibliotekę zakładową, budownictwo zakładowe dla pracowników. Gdzieś to wszystko zniknęło i odeszło po drodze do „nowego kapitalizmu”. Nie ma starych hal, zabytkowych maszyn, bo ktoś zapomniał o nie zadbać i zarejestrować je jako zabytki. W dalszym ciągu trwa rozbiórka starych hal, wydzierżawia się nawet nowe hale z lat 90. Dlatego wspomnienia p. **Lecha Pierścińskiego** są tym bardziej cenne dla nas i dla tych, którzy „**Gerlacha**” w ogóle nie znali i na pewno już nie poznają. Przeczytaj w nich o fabryce to, co już bezpowrotnie zaginęło!

Autorowi serdecznie dziękuję za nadesłane wspomnienia. Państwu życzę przyjemnego czytania, a być może i wspominania. Na pewno wśród Czytelników jest jeszcze wiele osób, które pamiętają fabrykę taką, jaką opisał nam pan **Pierściński** ze Skarżyska Kamienna.

Ryszard Bogatek

„Gertach” jaki znałem

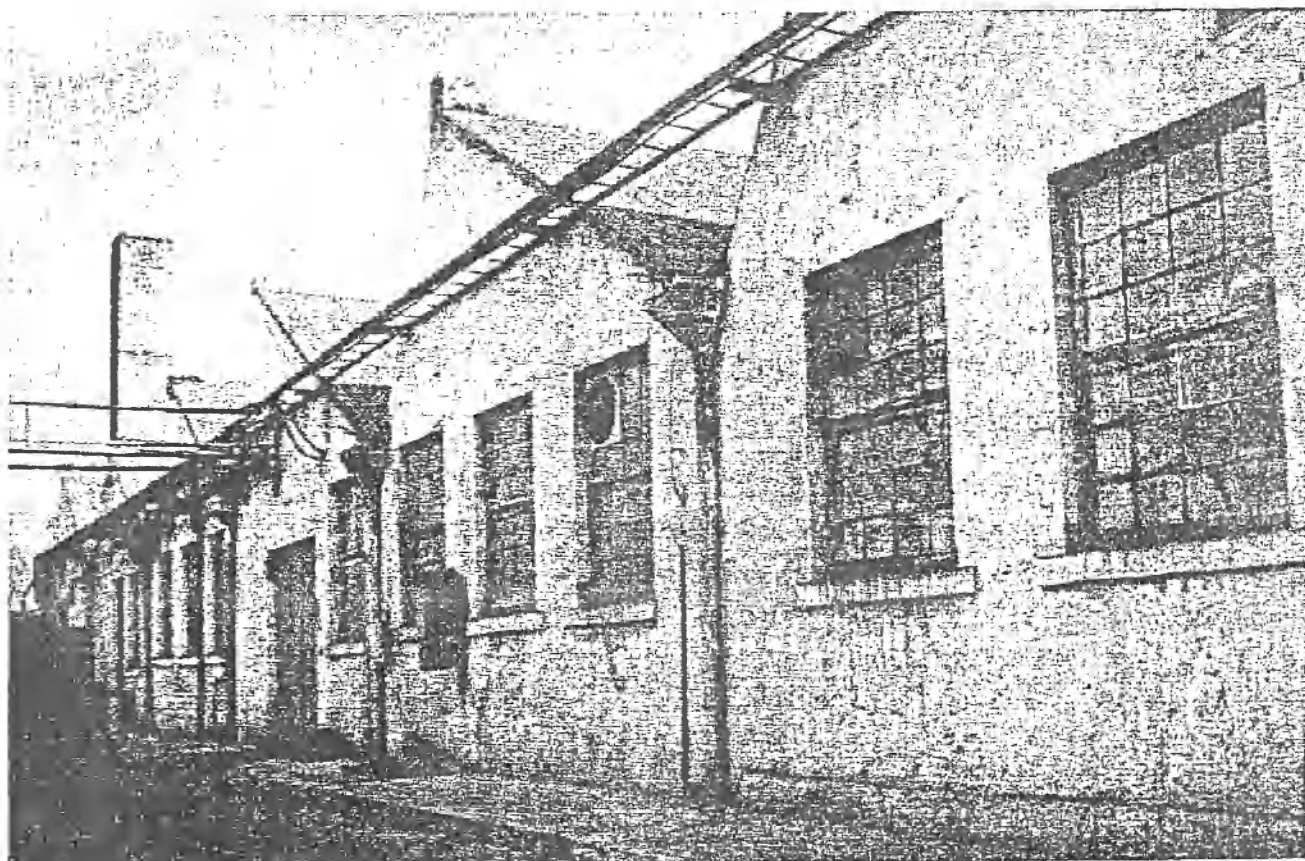
Z fabryką zetknąłem się dość wcześnie. Był rok 1938. Miałem wtedy niespełna 7 lat. Wówczas był zwyczaj, że niektórym pracownikom zamieszkającym w Drzewicy donoszono do fabryki śniadanie. Oczywiście zamiejscowym nikt śniadania nie przynosił. Przynosili je sobie sami w kieszeniach roboczych ubrań, zawinięte przeważnie w gazetowy papier. Częścią śniadania była flaszka z napojem w postaci mleka lub zbożowej kawy zabielaney mlekiem. W czasie zimy, kiedy funkcjonowały piece do ogrzewania pomieszczeń, przynoszony napój można było przed spożyciem podgrzać. Zaś latem taką możliwość mieli tylko pracownicy kuźni i hartowni. Pozostali spożywali napoje zimne, co niezbyt dobrze wpływało na ich zdrowie. Z tego więc powodu pracownikom, do których należał mój ojciec, donoszono świeże śniadanie wprost do fabryki. Matka niosąc je zabierała mnie często ze sobą. Czekaliśmy wtedy przed fabryczną bramą, aż ojciec podejdzie i odbierze przyniesiony posiłek.

Po pewnym czasie, kiedy dokładnie już znałem drogę do fabryki, śniadanie zanosilem ojcu samodzielnie. Oczywiście wychodziłem z domu znacznie wcześniej niż w towarzystwie matki. Po drodze było tyle ciekawych rzeczy, że moja piesza podróż do fabrycznej bramy trwała znacznie dłużej.

Brama fabryczna wykonana była z wysokich drewnianych sztachet przymocowanych do metalowej konstrukcji z solidnymi zawiasami. Między sztachetami były dość szerokie prześwity, przez które można było widzieć fabryczny dziedziniec. Bramę otwierano tylko na czas wjazdu lub wyjazdu jakiegoś wozu. Dla ruchu pieszego służyła umieszczona obok bramy podobnie zbudowana dość szeroka furta strzeżona przez tzw. stróża. Często przybywałem pod bramę przed czasem i przez kilkanaście a czasem i kilkadziesiąt minut czekałem na przybycie ojca. Miałem wówczas możliwość dokładnego zapoznania się z najbliższym otoczeniem.

Po prawej stronie drogi dochodzącej do fabrycznej bramy znajdował się duży ogród otoczony drewnianym parkanem dochodzącym do zabudowań fabrycznych. W głębi ogrodu stał duży, posadowiony na wysokiej podmurówce, gustowny dom z dużą oszkloną werandą. Była to siedziba współwłaściciela fabryki, jednego z braci Kobylańskich - Augusta, syna Bronisława. Ogród był bardzo starannie utrzymany, pełen ładnych kwiatów, ozdobnych krzewów i rzadkich gatunków niewielkich drzew, w tym również owocowych.

Po lewej stronie drogi wznosił się kilkunastometrowej długości obskurny drewniany budynek również przylegający do zabudowań fabrycznych. Zbudowany był na stromej skarpie. Od strony drogi zamieszkiwali w nim państwo Trynkosowie i państwo Zalewscy. Pan Trynkos zarządzał fabrycznym sprzężajem konnym i pracownikami placowymi.



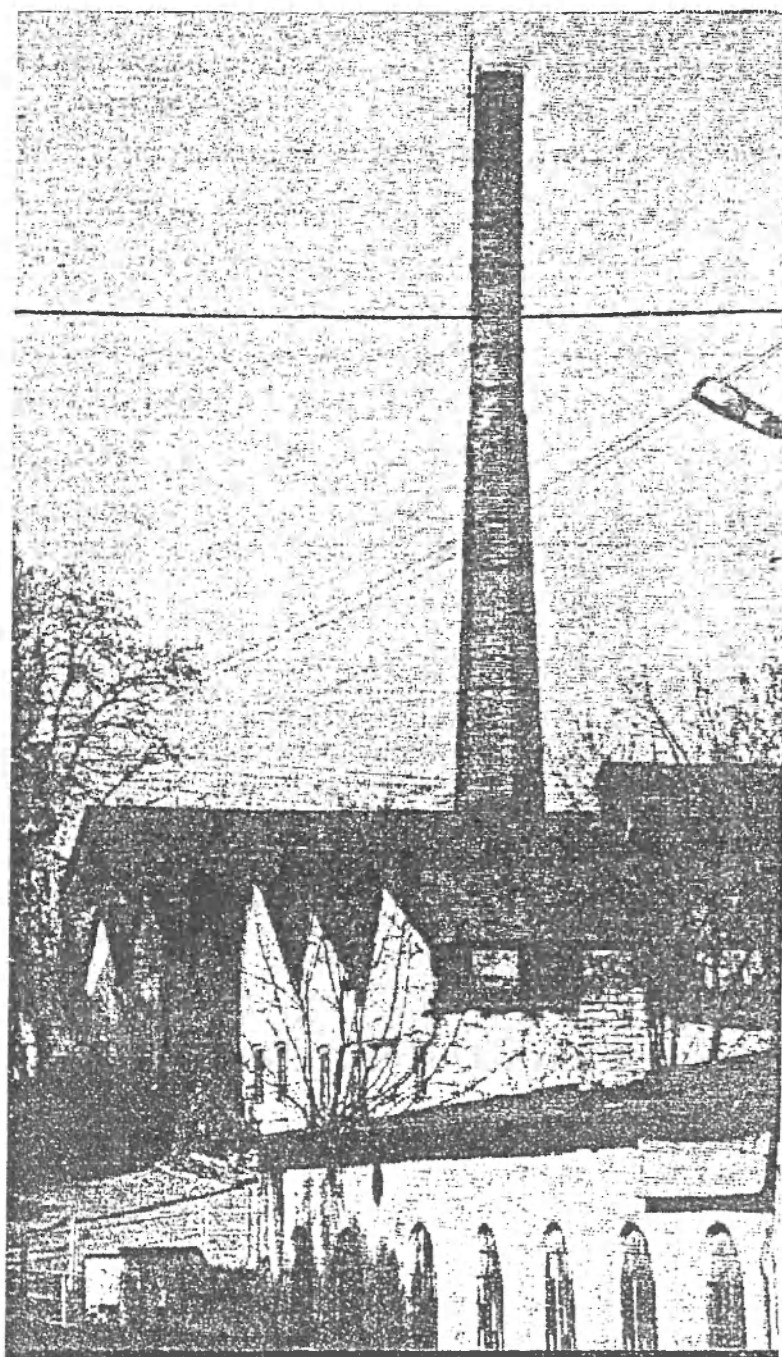
Na zdjęciu u góry: istniejąca jeszcze "najnowsza hala", w której mieściła się zyletkarnia, osadzalnia, nożyczkarnia i szlifiernia. U dołu: na pierwszym planie tzw. „polerownia mała”. W tle zdemontowane logo firmy „Gerlach”, które było umieszczone na dachu działu konstrukcyjnego w latach 80.

Pan Tadeusz Zalewski był majstrem działu elektrycznego. W środkowym lokalu tegoż budynku rozdzielającym mieszkalną część funkcjonował magiel ufundowany przez właścicieli fabryki dla potrzeb rodzin pracowników. W tym samym budynku z wejściami od strony kanału zwanego „piecówką” było mieszkanie zajmowane przez rodzinę pana Wincentego Rogulskiego.

Tuż za bramą fabryczną po prawej stronie dziedzińca znajdowała się studnia z pompą napędzaną dwoma dużymi żeliwnymi kołami obracanymi ręczną korbą. Studnia stanowiła jedyne źródło wody pitnej dla pracowników fabryki i lokatorów przyfabrycznych budynków.

Tuż za studnią wznosiła się wysoka ściana budynku murowanego z kilkoma wysokimi oknami wypełnionymi małymi mocno zabrudzonymi szybami. Z wnętrza budynku dochodził straszny łomoczący hałas. W bezwietrzne dni było go słychać aż na rynku Kościuszki oddalonym od fabryki prawie o cały kilometr.

Często pytałem ojca, skąd się ten hałas bierze. Wyjaśnienia ojca nie były dla mnie zrozumiałe. Toteż często nękałem go na ten temat nudzącymi pytaniami, aż pewnego dnia, za zgodą dozoruującego przy bramie pana Litworskiego, ojciec wprowadził mnie za rękę na teren fabryki. Weszliśmy w szerokie wejście zaczynające biegnący pod górę korytarz za ową tajemniczą ścianą. Na początku korytarza po prawej stronie znajdowała się kilkunastometrowej długości słabo oświetlona, wysokimi oknami z brudnymi drobnymi szybami widzianymi przeze mnie zza bramy. W dwu równoległych szeregach wzdłuż hali stały duże, czarne, ociekające smarem maszyny kuzienne napędzane długimi skórzanymi pasami. Pasy te były wprowadzane w ruch przez wysoko zawieszony wał z licznymi metalowymi kołami. Te okropnie hałasujące maszyny to były młoty, przy których na niskich drewnianych stołkach, siedzieli schyleni, umorusani ludzie i cierpliwie przekuwali rozgrzane do czerwoności kawałki metalu, podawane im długimi kleszczami przez drugich stojących przy płonących piecach również umorusanych ludzi. Po przeciwnej stronie korytarza, nieco dalej, w znacznie krótszym niż poprzednio pomieszczeniu, stała ogromna, wysoka maszyna. Obsługujący ją pracownik, dla wygody stał w przeszło półmetrowym zagłębieniu. Wyglądał przy tej potężnej maszynie bardzo filigranowo. Wkładał do wnętrza maszyny kawałek rozgrzanej stali i oburącz naciskał dźwignię wystającą z lewej strony maszyny. Wtedy ogromne, ciężkie koło umieszczone na szczycie wielkiej śruby zaczęło się szybko obracać i wprowadzało w ruch pionowo umieszczoną śrubę, na której spodzie zamocowana była duża stalowa matryca uderzająca w rozgrzany metal. Następnie śruba szybko uciekała w górę, a pracownik zdejmował z dolnej matrycy dokładnie uformowaną połówkę dużych krawieckich nożyc. Byłem urzeczony tą wspaniałą techniką. Fakty te pamiętam tak dobrze, jakby to było wczoraj, a przecież od tego czasu upłynęło ponad sześćdziesiąt lat.



Z lewej: „polerownia mała”, wyżej hala mieszcząca dział mechaniczny, elektryczny, szczypiarnię, kuźnię ręczną. W tle wyżarzalnia z wysokim kominem. Dziś hale te nie istnieją, również i komin.

Wkrótce wybuchła II wojna światowa, fabryka została zamknięta. Po kilkunastu tygodniach wznowiono produkcję na urządzeniach, które nie ucierpiały w działaniach wojennych 1939 r. Wytwarzano już znacznie mniejsze ilości wyrobów. Nadzór osłabł, skutkiem czego część produktów pracownicy przywłaszczali sobie i zbywali przyjeżdżającym paserom, zdobywając w ten sposób środki na utrzymanie rodzin.

Porządki fabryczne znacznie się unormowały, kiedy powrócili właściciele zakładu.

Dalej nosiłem ojcu śniadania do fabryki. Były one bardzo skromne, najczęściej czarny, razowy chleb, nie zawsze posmarowany i flaszka zbożowej kawy osłodzonej sacharyną. Teraz mogłem przechodzić przez fabryczną bramę i zanosić ojcu śniadanie wprost do jego miejsca pracy.

Ojciec pracował w magazynie stali w pobliżu drugiej bramy fabrycznej przy upustach stawowych. Zajmował się cięciem długich stalowych prętów i dużych arkuszy blach na krótkie kawałki i wąskie pasy będące przygotówkami do dalszych zabiegów technologicznych. Do tej czynności służyły dwie sztance (rodzaj pras mimośrodowych) napędzane pasami z wału transmisyjnego zawieszanego za murowaną ścianą oraz zakupione tuż przed wojną, pokryte ciemnozielonym lakierem nożyce gilotynowe. Te miały już nowoczesny i indywidualny napęd z silnikiem elektrycznym.

Przy okazji przechodzenia przez cały teren fabryki zaglądałem do otwartych drzwi niektórych działów. Podobały mi się bardzo strumienie pomarańczowych rozgwieżdżonych iskier, wylatujące przy szlifowaniu ostrzy ze stali węglowej na dużych tarczach zamocowanych na wirujących wrzecionach polerek.

Zachodziłem często do pomieszczenia elektrowni wodnej, gdzie pracował nasz kuzyn, pan Jan Pierściński. Zwykle siedział oparty plecami o ciepły ogromny generator napędzany turbiną wodną. Turbina sterowana była automatycznie obracającym się ze zmienną prędkością regulatorem odśrodkowym Watta.

W towarzystwie ojca zwiedziłem żyletkarnię. Znajdowała się ona w najnowszym budynku fabrycznym. Pomieszczenia były widne i czyste. Żyletki wytwarzano na importowanej linii automatycznej zakupionej w roku 1935. Maszyny pracowały cicho i rytmicznie. Najciekawszą była maszyna na końcu taśmy technologicznej. Wykonywała pakowanie gotowych już ostrzy w kolorowe papierowe podwójne kopertki.

Niebawem fabrykę przejął w wieczystą dzierżawę Niemiec C. L. Longert. Przy wejściach stanęły uzbrojone posterunki. Moje eskapady po fabryce skończyły się do czasu, kiedy przekraczałem fabryczną bramę już jako pracownik.

Zacząłem pracę 15 sierpnia 1947 roku. Początkowo w dziale scyzorykarni, później w dziale mechanicznym.

W okresie trzyletniej pracy w „Gerlachu” miałem okazję uzupełnić swoją wiedzę o fabryce z czasów przedwojennych.



Zdjęcie wyżarzalni i komina, który rozebrano w 1985 roku. Tu komin w czasie rozbiórki.

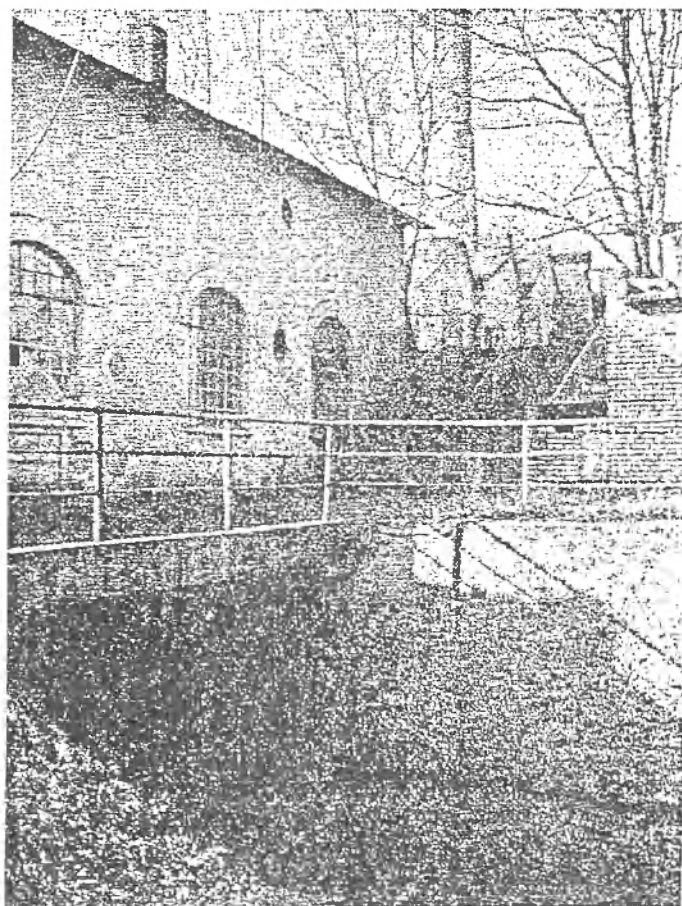
Stan fabryki w pierwsze lata po wyzwoleniu nie odbiegał w zasadzie od jej stanu z czasów przedwojennych. Zagrabione przez Niemców maszyny w roku 1945, odzyskano prawie kompletnie. Technologia wytwarzania wyrobów była identyczna jak przed wojną. W ogóle wszystko było jak przed wojną. Prawie ci sami ludzie, te same budynki fabryczne. Po prawej stronie bramy, tuż za studnią wznosił się długi murowany zwieńczony zębatym dachem budynek przylegający do ogrodu Kobylańskich. Mieścili się w nim: kuźnia mechaniczna, prasownia, gratownia, narzędziownia i szczyrkarnia. Nieco dalej, równolegle do pierwszego budynku, zamykał dziedziniec budynek mieszczący dział mechaniczny, elektryczny, szczyrkarnię, kuźnię ręczną i wyżarzalnię, której służył wysoki murowany z cegły czerwonej komin z piką odgromnika na szczycie. Na odgromniku umocowana była duża blaszana ryba wskazująca kierunek wiatru. Dalej na zachód, tuż za ostatnio opisanym budynkiem, mieścili się kantory dyrekcji i biura. Za nimi, po lewej stronie stały stajnie i wozownie odgradzające skrawek zadrzewionego terenu zwanego parkiem i brzeg zalewu, nad którym stał skromny drewniany pawilonik służący latem za naturalną łąźnią rodziny Kobylańskich.

Na północ od opisanych budynków wznosił się stary budynek mieszkalny tak zwany dworek Kobylańskich zasiedlony przez kilku pracowników kadry technicznej z rodzinami. Po lewej stronie dziedzińca przylegający do bramy nr 1 znajdował się parterowy murowany budynek mieszczący magazyn wyrobów gotowych, a w podpiwniczeniu mający łąźnią dla pracowników zakłady. Za nim przerzucono przez kanał „piecówka” szeroką kładkę dla ruchu pieszego. Kładka o znacznym pochyleniu w kierunku południowym łączyła pierwszy dziedziniec z drugim niżej położonym na prawym brzegu kanału. Na zachód od budynku magazynu, wznosiła się hartownia oraz przylegająca do niej bębnownia odkuwek. Dalej był nisko usadowiony budynek elektrowni wodnej. Przy drugim, dolnym dziedzińcu tuż nad prawym brzegiem kanału na wysokości magazynu wyrobów gotowych, stał dwukondygnacyjny budynek mieszczący nikłownię, trawiarnię i pakownię towaru. Dalej na zachód, tuż za kładką, posadowiono polerownię „małą” a dalej, za drogą, stał drewniany barak mieszczący stolarnię i trzonkarnię. Wschodnią ścianę dolnego dziedzińca wypełniał duży, najnowszy budynek w „Gerlachu” mieszczący: osadzalnię, nożyczkarnię, żyłtkarnię i szlifiernię. Południową stronę dolnego dziedzińca zamykał długi, stary budynek „dużej” polerowni, a na jego zachodnim szczycie był magazyn stali z przylegającym magazynem tarcicy i stolarnią-modelarnią. Na zachód od ulicy prowadzącej do drugiej bramy, nad brzegiem stał betonowy szkielet rozpoczętego piętrowego budynku (obecnie biurowiec główny).

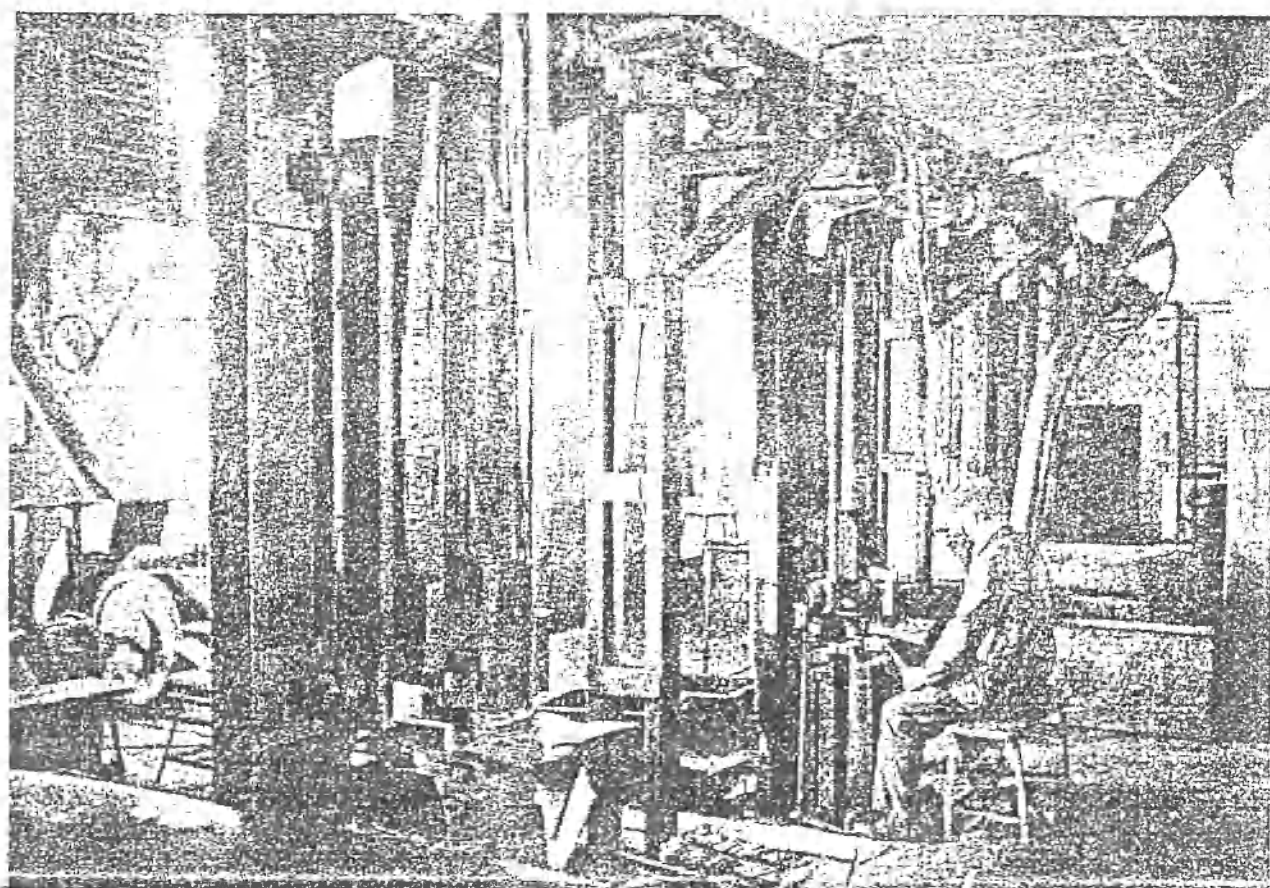
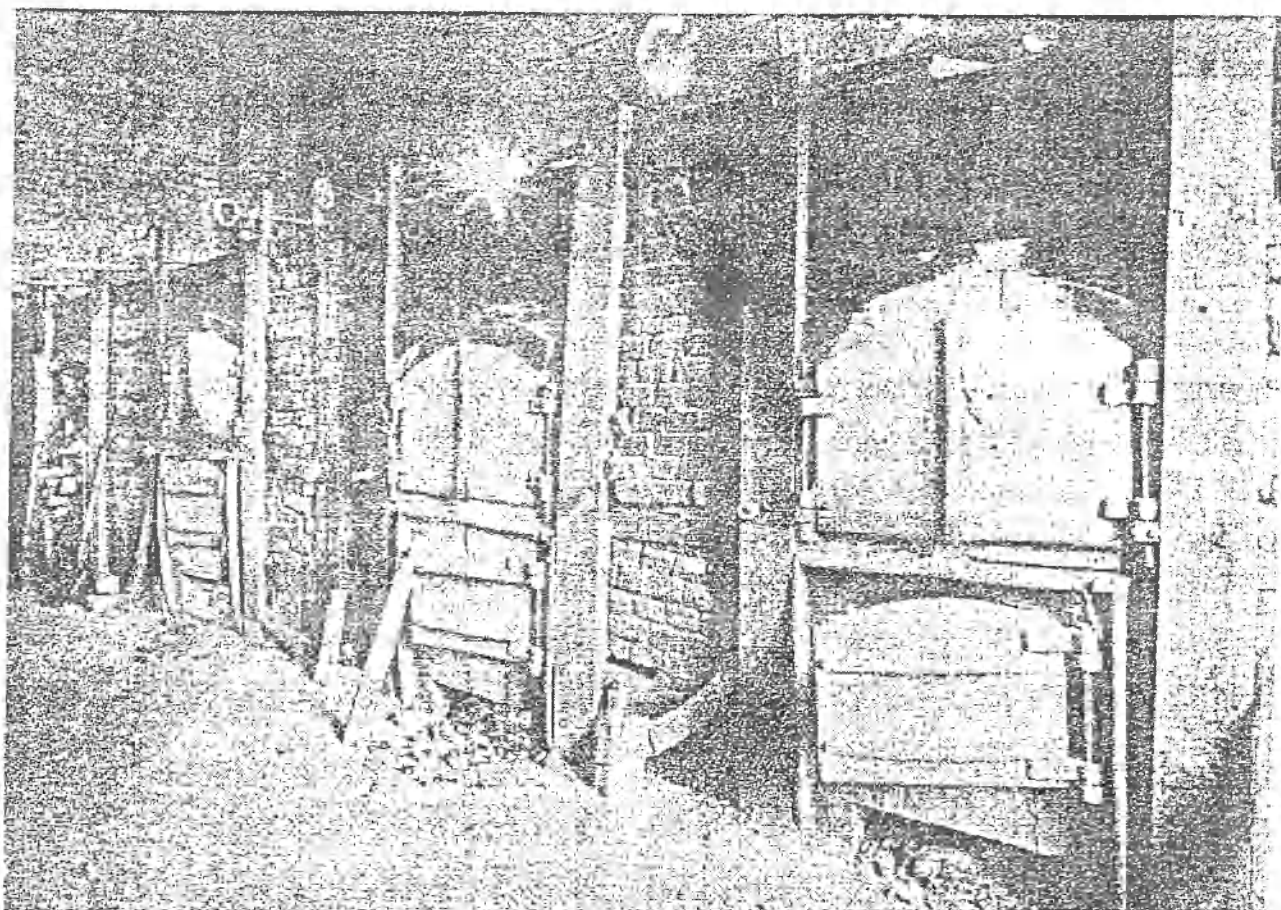
Warunki pracy w „Gerlachu” nie były łatwe. Tylko jeden budynek mieszczący min. żyłtkarnię posiadał centralne ogrzewanie, wodociąg i kanalizację. Pozostałe budynki produkcyjne takich urządzeń nie posiadały. Pracujący tam ludzie nie mieli się gdzie umyć, zwykle wracali do domu

brudni, również w brudnych roboczych ubraniach. Zimą, pomieszczenia ogrzewano żeliwnymi, węglowymi piecami, przy których można było podgrzać napój śniadaniowy lub wodę do mycia rąk po pracy. Latem nawet takich możliwości nie było. Potrzeby naturalne załatwiano w dwóch cuchnących latrynach, do których trzeba było dochodzić często kilkaset metrów. Pomieszczenia o dużym zapyleniu lub zadymieniu posiadały lichą grawitacyjną wentylację. Pracownikom pracującym w szczególnie uciążliwych warunkach fabryka zapewniała tylko parciane fartuchy ochronne, a za środek czystości służyło maziste mydło szare zmieszane z trocinami. Opiekę lekarską zapewniała kasa chorych. Ambulatorium znajdowało się poza terenem fabryki. Przyjmował jeden lekarz, jeden felczer i jeden dentysta. Nie prowadzono żadnej profilaktyki zdrowotnej.

Szczególnie uciążliwym zajęciem był transport wewnętrzny dysponujący popychanymi przez ludzi dwukółowymi wózkami lub taczkami. Tymi środkami dowożono lub przewożono wszystkie materiały i półwyroby na terenie fabryki. Transport zewnętrzny odbywał się wyłącznie taborem konnym. Fabryka posiadała kilka par silnych koni umieszczonych w stajniach na terenie fabryki. Surowce i materiały przywożono ze stacji kolejowej w Opocznie, zaś wyroby gotowe dowożono do stacji kolejki wąskotorowej grójeckiej w Nowym Mieście.



Na pierwszym planie zdjęcia kładka nad kanałem „piecówka” oraz budynek nad kanałem. W budynku mieściła się hartownia i bębnownia odkuwek.



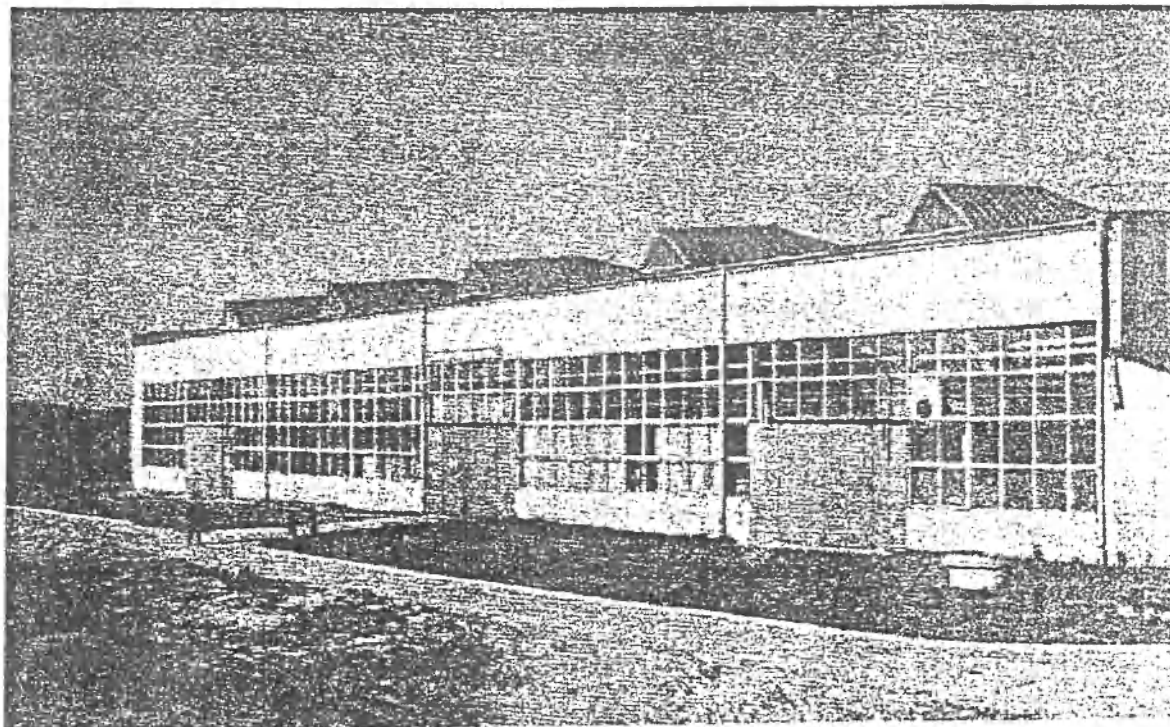
U góry: wnętrze wyzarzalni przedstawiające nie istniejące już piece do wywarzania. Na dole: tzw. klepaki z XIX w. uruchamiane transmisją. Dziś funkcjonuje tylko jeden klepak.

Mimo tak prymitywnych warunków fabryka wytwarzała znakomitej jakości wyroby w dużym asortymencie. Katalog Kobyłańskich zawierał blisko 400 pozycji. Najliczniej występowały najróżniejsze rodzaje noży, scyzoryków i nakryć stołowych. Bardzo bogatą kolekcję stanowiły noże rzemieślnicze i specjalistyczne oraz różnego rodzaju szczypce, nożyczki, sekatory, szatkownice itp. Jakość wyrobów była znakomita, mimo że nie działała wówczas żadna wydzielona służba kontroli jakości. Pracownicy starali się wykonywać powierzone im czynności technologiczne jak najlepiej. Dobre wyniki pracy były gwarancją dalszego zatrudnienia i awansu. Wyrocznią w zakresie jakości wykonywanej pracy był majster a nauczycielami zawodu byli majstrowie i starsi, doświadczeni, życzliwi robotnicy.

Ze szczególną starannością wykonywano wszelkie rodzaje noży. One stanowiły najlepszą opinię o firmie „Gerlach”. Używano dobrych gatunków stali. Każdy nóż na początku był starannie przekuwany. Dotyczyło to również małych ostrzy do scyzoryków, później hartowanych, szlifowanych i polerowanych. Proszę zauważyć, jak wielkie doświadczenie posiadali pracownicy hartowni, którzy w komorowych piecach opalanych koksem, podsycanych powietrzem wdmuchiwanym do paleniska, potrafili uzyskiwać właściwą twardość przedmiotów, bez jakichkolwiek urządzeń do mierzenia temperatury nagrzewania. Jedynym miernikiem był kolor nagrzewanego przedmiotu oceniany „na oko”. Dla ułatwienia, w pomieszczeniu hartowni panował mrok rozpraszany nieco fioletowym światłem wpadającym z zewnątrz przez kolorowe szyby umieszczone w pokrywie dachowej. Hartownia wyposażona była w dwa piece elektryczne oporowe z wymuszonym obiegiem powietrza i automatycznie regulowaną temperaturą, służące do zabiegu odpuszczania ostrzy ze stali nierdzewnej. W hartowni obrabiano również cieplnie narzędzia wykonywane na własne potrzeby: matryce, stemple i wykrojniki. Twardość tych ostatnich określano przy pomocy jedyne w firmie twardościomierza Rockwela.

Do szlifowania ostrzy noży służyły dwuwrzecionowe półautomatyczne szlifierki wyposażone w cylindryczne ściernice na spoiwie magnezytowym wykonywane gdzieś w zakładzie specjalistycznym w Polsce. Szlifowania wykańczającego i polerowania dokonywano przy pomocy dwóch wrzecionowych polerek napędzanych z urządzeń transmisyjnych lub posiadających własny napęd elektryczny. Jako narzędzia służyły dużej średnicy (ok. 80 cm) tarcze drewniane o złożonej budowie, na obwodzie obciągnięte twardą skórą, na którą nakładano nasyp roboczy złożony z proszku ściernego i kleju skórniego lub kostnego. Tarcze te miały zasadniczą zaletę, że można je było wielokrotnie odnawiać. Usuwano przez zeskrobanie

resztki zużytego nasypu i nanoszono nowy o wymaganej wielkości ziarna ściernego. Regeneracji tarcz dokonywali ci sami pracownicy, którzy je używali. Jako materiały pomocnicze do polerowania używano topionego łożu zwierzęcego lub specjalnej pasty sporządzanej w fabryce z łożu, parafiny i innych dodatków ułatwiających polerowanie. Często, używany łoż nie był świeży. Toteż w pomieszczeniach polerowni panował zawsze nieznośny zapach, którym przesiąkały ubrania tam pracujących. Operacja polerowania była uciążliwą i odpowiedzialną. Decydowała o estetyce i przydatności użytkowej produkowanych noży.



Hala z lat 90 mieszcząca dział mechaniczny i elektryczny. Dziś w dzierżawie.

Zarobki w fabryce nie były najlepsze, toteż pracownicy uprawiali jeszcze niewielkie działki rolnicze. Za czasów Kobylańskich stosowano trzy systemy płac. Majstrowie i pracownicy biurowi wynagradzani byli miesięcznie, niezależnie od ilości dni roboczych występujących w danym miesiącu. Pozostałych pracowników wynagradzano w systemie dniówkowym lub akordowym. Ten ostatni system był najbardziej rozpowszechniony i obejmował wszystkich pracowników zatrudnionych bezpośrednio w produkcji. Pracownikom dniówkowym i akordowym wypłacano w każdą sobotę w pełnych złotych. Groszowe końcówki deponowano na końcu roku lub przy rozliczeniu związanym z odejściem pracownika z zakładu.

W okresie Bożego Narodzenia pracownicy fabryki otrzymywali prezenty rzeczowe lub pieniężne od właścicieli - Kobylańskich.

Lech Pierściński

Z życia gminy

Uroczystość w Brzustowcu

Ochotnicza Straż Pożarna w Brzustowcu obchodziła 85-lecie swojej działalności. Uroczystości obchodów odbyły się w święto Wniebowstąpienia NMP w piątek 15 sierpnia na miejscowym boisku sportowym. Na strażacką imprezę, której inicjatorem był rodak z Brzustowca p. **Stanisław Bożyk**, zaproszono jednostki OSP gminy Drzewica. Tłumnie przybyli okoliczni mieszkańcy. Piątkowe uroczystości obchodzono pod hasłem „Letni Piknik Wiejski”. Rozpoczęto je polową mszą św. odprawioną w intencji strażaków, a którą celebrowali: kapelan strażaków ks. kan. **Bogumił Polinceusz**, ks. **Piotr Turek** - duszpasterz dzieci głuchoniemych w Łodzi oraz dziekan dekanatu drzewickiego - ks. kan. **Stanisław Madej**. Wśród zaproszonych gości byli: wicestarosta opoczyński **Andrzej Sosnowiec**, mł. bryg. poż. mgr inż. **Stanisław Sagalara** - kom. Pow. PSP RP, prezes Zarządu Powiatowego ZOSP RP dh **Tadeusz Wojciechowski**, przew. Rady Gminy i Miasta, członek Zarządu Gm.-M ZOSP RP dh. **Teresa Nowakowska**, burmistrz - prezes Zarządu Gminno-Miejskiego ZOSP RP dh **Janusz Reszelewski**, wójt gminy Gielniów - **Władysław Czarnecki** oraz komendant Gm. - M ZOSP RP bryg. poż. inż. **Marian Kłobucki**. Po odprawionej mszy św. z historią straży zapoznał zgromadzonych p. **Zdzisław Rzeźnik**. Zainteresowani dowiedzieli się, że straż ogniowa powstała w Brzustowcu na przełomie lat 1917 i 1918, a założycielem jednostki był **Antoni Wesolowski** z Brzustowca pełniący wówczas funkcje wójta gminy Kszczonów. Duże zasługi w rozbudowie jednostki OSP miał **Jan Szymański** z Gielniowa, nauczyciel szkoły w Brzustowcu zamordowany w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu.

W latach międzywojennych w działalności straży zasłużyli się dh dh: **Józef Widawski**, **Jan Wójcik**, **Jan Pomykała**, **Jan Staniszewski**, bracia **Jarzyńscy** oraz **Antoni Lisek**.

Po wojnie, dzięki staraniom **Stanisława Kowalskiego**, pobudowano pierwszą remizę strażacką, która stanęła na jego polu. Obecna remiza została wybudowana na początku lat 70. W 1964 roku wykonano strażacki wóz konny, sprowadzony do jednostki przez **Wiesława Wierzbickiego**. Ten rzadko spotykany pojazd w jednostkach OSP służy jednak strażakom Brzustowca nadal i jest w pełni wyposażony. Choć obecnie nieczęsto bierze udział w akcjach pożarowych, to jako rekwizyt stanowi nie lada atrakcję na zawodach czy uroczystościach strażackich. Strażacy z Brzustowca są pełni nadziei, że ich jednostkę niedługo zasili strażacki wóz bojowy z prawdziwego zdarzenia. Pomimo braku odpowiedniego sprzętu gaśniczego działają nadal czynnie w liczbie 37 strażaków. W skład zarządu jednostki wchodzi dh dh: **Tomasz Sochański** - prezes, **Artur Wijata** - I wiceprezes i naczelnik, **Sławomir Woźniak** - II wiceprezes i gospodarz, **Karol Cichorz** - zastępca naczelnika, **Krzysztof Wójcik** - sekretarz, **Andrzej Kwiecień** - skarbnik. Komisji rewizyjnej przewodniczy **Karol Pietrasik**. Członkami komisji są: **Mieczysław Działak**, **Michał Ziółkiewicz**.

Działalność jednostki wspiera drużyna młodzieżowa oraz veterani pożarnictwa.

Najbardziej zasłużeni strażacy zostali odznaczeni: złotym medalem „Za zasługi dla pożarnictwa” - dh Jan Sadowski, srebrnymi medalami - dh Czesław Kwiecień, dh Andrzej Kwiecień, brązowymi - dh Janusz Bialek, dh Tomasz Sochański. Odznaki „Wzorowego Strażaka” otrzymali dh dh: Łukasz Gumul, Artur Wijata, Tomasz Matuszczak, Marcin Stępień. „Za wysługę lat” w pożarnictwie uhonorowano dh dh: Feliksa Kmitę - 45 lat, Jana Kwietnia - 45 lat, Stefana Kwietnia - 45 lat, Seweryna Pomykałę - 45 lat, Stanisława Porczyka - 30 lat, Marka Mandeckiego - 15 lat, Włodzimierza Staszewskiego - 10 lat i Zdzisława Staszewskiego - 10 lat.

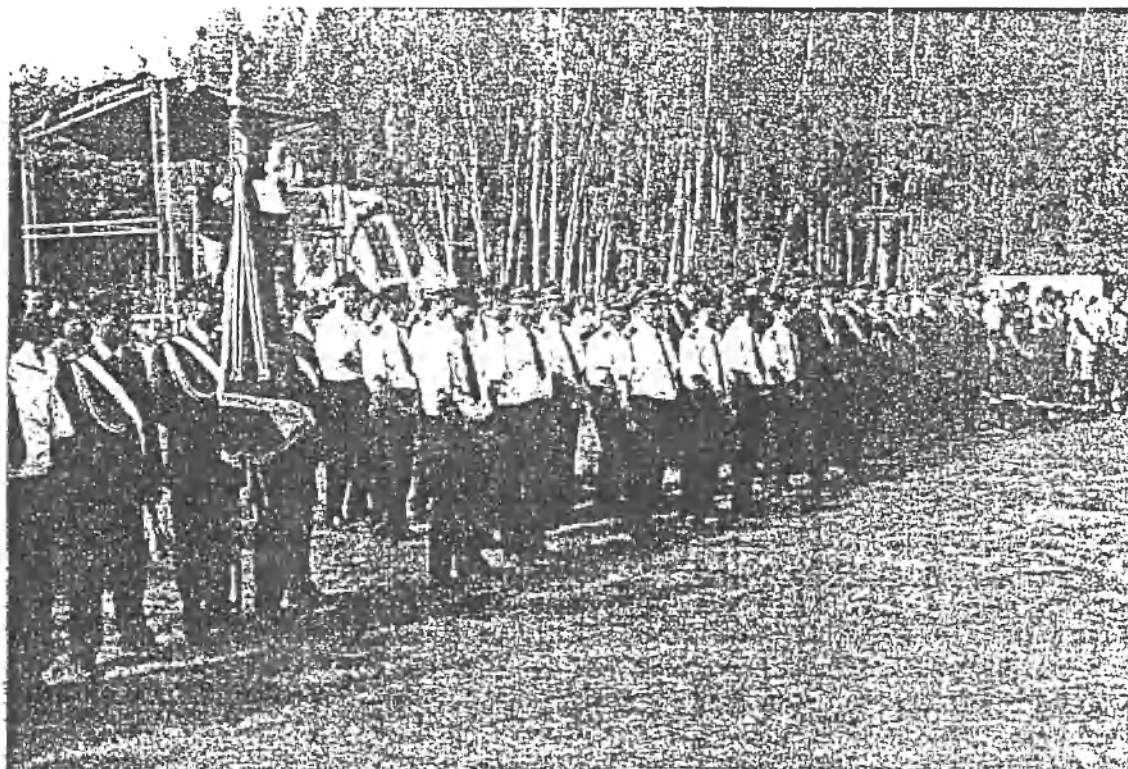
Po części oficjalnej nastąpiła impreza artystyczna, którą rozpoczął występ zespołu ludowego „Drzewiczanie” z OKGiM w Drzewicy. Później, przed licznie zgromadzoną publicznością, zaprezentowali się min. muzycy z zespołu „Sweet Combo”, Krystyna Sienkiewicz, Jerzy Filar oraz członkowie kabaretów: „Trzeci Oddech Kaczuchy” i „Pigwa Show”. Całość prowadzili Magda Michalak z TVP Łódź i Stanisław Bożyk.

Patronat nad „Letnim Piknikiem Wiejskim” objęli: Telewizja Łódź, „ANGORA”, „Gazeta Wyborcza” i „Dziennik Łódzki”.

Tak udanej imprezy mieszkańcy gminy Drzewica dawno nie oglądali, a wszystko to dzięki staraniom i zaangażowaniu p. Stanisława Bożyka, który prowadzi impresariat na cały kraj. Panu Stanisławowi należą się duże słowa uznania nie tylko od braci strażackiej ale i od społeczeństwa za dostarczenie tak wspaniałej rozrywki. Podziękowania przesyłamy też występującym artystom, którzy za swoje występy nie wzięli żadnych honorariów jak również osobom, które sponsorowały strażacką imprezę.

Na duże brawa zasługuje młodzieżowa orkiestra dęta z OKGiM w Drzewicy.

Ryszard Bogatek



Poczet sztandarowy, druhowie jednostki OSP, zaproszeni na 85 lecie straży w Brzustowcu (foto L. Milczarek)



Z historią OSP w Brzustowcu zapoznał przybyłych na uroczystość p. Zdzisław Rzeźnik
(foto L. Milczarek)



Zaproszeni goście od lewej: burmistrz Drzewicy, prezes Zarządu Gm. M. ZOSP RP - dh Janusz Reszelewski, wicestarosta opoczyński Andrzej Sosnowiec, prezes Zarządu Powiatowego ZOSP RP - dh Tadeusz Wojciechowski, komendant powiatowy PSP RP mł. bryg. poż. mgr inż. Stanisław Sagalara, przew. Rady Gm. i M., członek Zarządu Gm. M. ZOSP RP - dh. Teresa Nowakowska (foto L. Milczarek)



Młodzieżowa orkiestra dęta z OKGiM Drzewica wzbudzała podziw wśród słuchających swoimi umiejętnościami gry i repertuarem (foto L. Milczarek)



Na uroczystości licznie przybyli mieszkańcy Brzustowca i okolic (foto L. Milczarek)



Nowoczesny wóz bojowy - przekarosowany „SKOT” z OSP Drzewica, a obok - relikw przeszłości
- konny wóz strażacki z OSP Brzustowiec (foto L. Milczarek)



Wśród naszych Czytelników są absolwentki i absolwenci Szkoły Ogólnokształcącej, wielu uczniów uczy się obecnie w Prywatnym Liceum Ogólnokształcącym im. Królowej Jadwigi i w Prywatnym Gimnazjum Ogólnokształcącym w Mariówce. Zamieszczamy przedruk artykułu z Tygodnika Katolickiego „Niedziela” nr 38, pióra **Marii Wójcik** zatytułowany „100-lecie Mariówki”. Artykuł ten udostępnił nam ks. dziekan **Stanisław Madej**.

100-lecie Mariówki

POCZĄTKI

Mariówka - niewielka miejscowość na ziemi opoczyńskiej - jest głównym centrum działalności Zgromadzenia Sióstr Służek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanej, założonego w 1878 r. przez bł. o. Honorata Koźmińskiego.

Początki Mariówki sięgają 1903 r. Wiosną tegoż roku Zgromadzenie kupiło od Henryka Kie-drzyńskiego, dziedzica w Smogorzowie, majątek ziemski, celem założenia tu domu formacyjnego i rozwinięcia działalności oświatowej na wsi. Za radą Ojca Honorata, nabytą posesję, na cześć Maryi - głównej Patronki Zgromadzenia, nazwano Mariówka.

Zagospodarowanie tak dużej posesji (ok. 62 ha) od początku stwarzało wiele problemów. Przewijają się one m.in. w korespondencji sióstr służek do Ojca Honorata, przebywającego w klasztorze nowomiejskim. Siostry pisały, że w Mariówce „za wiele [jest] ziemi, gospodarstwo zbyt trudne (...) grunt sapowaty i pracowity

[jest]. Przez jakiś czas trzeba [go] dobrze uprawiać, aby stał się produkcyjnym". Ponadto Mariówka znajdowała się za daleko od kolei i od większego miasta. Stąd przełożone zastanawiały się, czy Mariówki nie sprzedać „choćby ze stratą małą, a w innym miejscu odpowiednim kupić”.

ZAŁOŻENIE SZKOŁY GOSPODARCZO - RZEMIEŚLNICZEJ

W powstałych w Mariówce budynkach po 1903 r. Zgromadzenie otworzyło Szkołę Gospodarczo-Rzemieślniczą. Pod osłoną szkoły funkcjonował od 1908 r. nowicjat dla całego Zgromadzenia. Oficjalnie dla władz zaborczych nowicjat stanowił jej internat. W kaplicy, skrzętnie ukrywanej przed czujnym okiem żandarmerii carskiej, pozostawał na stałe Najświętszy Sakrament. Przechowywano Go w szufladce drewnianego krzyża, aby na wypadek rewizji mógł być przeniesiony do pobliskiego kościoła parafialnego w Smogorzowie.

Program szkoły, ograniczający się pierwotnie do działu gospodarczego, poszerzono o różne działy rzemiosł. Mimo zakazu nauczania przedmiotów teoretycznych starano się dać uczennicom (tj. ok. 80 nowicjuszkom) pewien zasób wiedzy ogólnej.

W 1910 r. do Mariówki został przeniesiony dom generalny Zgromadzenia z Nowego Miasta n. Pilicą. Odtąd „zaczęło się nowe życie. Na wsi, z dala od większych miast, a tym samym od policji, siostry mogły odprawiać wspólne rekolekcje” - pisze s. Waleria Głębocka w Kronice Zgromadzenia. Prowadził je często ks. dr Julian Młynarczyk (1882-1950), profesor Wyższego Seminarium Duchownego w Sandomierzu, którego życie na stałe związało się z Mariówką. Ojciec Honorat tak wypowiedział się o nim: „Rzadki jest taki kapłan, jakiego służkom teraz Opatrzność dała, któremu całkowicie zaufać mogą” (H. Koźmiński, *Pisma*, t. 5, list 174, z ok. 1916 r.).

W latach 1910-12 przysyłani urzędnicy carscy przeprowadzali w Mariówce rewizje celem wykrycia kaplicy i „tajnego klasztoru”. Urzędnik z Petersburga Petrow, który przybył tu z pomocnikiem w 1912 r., zarządził zamknięcie internatu Szkoły Gospodarczo-Rzemieślniczej. Prześladowania ustąpiły po wybuchu I wojny światowej.

Z końcem 1914 r. w Mariówce, mimo działań wojennych, Zgromadzenie z inspiracji ks. dr. Juliana Młynarczyka zorganizowało Szkołę Ochroniarską. Jej celem było przygotowanie sióstr i dziewcząt do pracy w ochronkach (dzisiejszych przedszkolach). Zgromadzenie, uwzględniając większe zapotrzebowanie społeczne na nauczycieli, zwłaszcza dla zaniedbanej oświaty wiejskiej, również z inicjatywy ks. J. Młynarczyka, otworzyło w Mariówce w 1921 r. Żeńskie Seminarium Nauczycielskie z internatem, likwidując w 1922 r. dotychczasową Szkołę Ochroniarską. W Seminarium kształciły się dziewczęta z całej Polski. W trosce o jego rozwój, na prośbę Zgromadzenia, ks. dr Julian Młynarczyk przeniósł się w 1922 r. z Sandomierza do Mariówki. Ten gorliwy kapłan przez 28 lat pracował tu jako kapelan sióstr, ojciec duchowny całego Zgromadzenia i opiekun duchowy młodzieży, następnie dyrektor szkół w Mariówce (1929-46). Dzięki jego twórczemu i ofiarnemu wysiłkowi oraz pracy zarządu Zgromadzenia Mariówka stała się znanym ośrodkiem oświatowym. Ówczesne władze, doceniając pracę kulturalno-oświatową zarządu szkół i nauczycieli, przyznały w 1928 r. Złote Krzyże Zasługi: dyrektorce Seminarium Nauczycielskiego - s. Wandzie Józefie Sieradzkiej i kierownicze Szkoły Gospodarczo-Rzemieślniczej - s. Bożennie Kahl oraz Srebrny Krzyż Zasługi ks. dr. Julianowi Młynarczykowi.

Świetnie rozwijające się Seminarium Nauczycielskie w Mariówce w wyniku reformy szkolnictwa w 1936 r. zostało zamknięte. W 1933 r. w budynkach Seminarium Nauczycielskiego Zgromadzenie otworzyło Prywatne Żeńskie Gimnazjum Ogólnokształcące, a w 1937 r. także Żeńskie Liceum Ogólnokształcące im. Królowej Jadwigi. Wybuch II wojny światowej przerwał działalność tych szkół.

Prawie przez cały okres wojny gmachy szkolne w Mariówce zajmowało wojsko niemieckie i sztab oficerski. Przez pewien okres okupanci zajmowali też część pomieszczeń w domu generalnym. Pomimo trudnego sąsiedztwa z Niemcami siostry opiekowały się rannymi żołnierzami polskimi. Włączyły się w akcje AK w charakterze łączniczek obwodu Opoczno. Przyjmowały wysiedlonych z Ziemi Zachodnich i warszawiaków po Powstaniu Warszawskim, pomagając im. W czasie wojny siostry organizowały też komplety tajnego nauczania na poziomie podstawowym i średnim. Nadal czynna była niższa szkoła zawodowa z ograniczonym programem nauczania. Założono przedszkole, które funkcjonowało od 1943 do 1958 r.

MARIÓWKA PO 1945 r.

W rzeczywistości powojennej Zgromadzenie wznowiło nauczanie. W marcu 1945 r. w Mariówce uruchomiło Prywatne Koedukacyjne Gimnazjum Ogólnokształcące, następnie także Prywatne Koedukacyjne Liceum Ogólnokształcące. W 1950 r. szkoła przyjęła nazwę: Prywatna Koedukacyjna Szkoła Ogólnokształcąca stopnia licealnego im. Królowej Jadwigi. W 1954 r. władze państwowe zabrały Zgromadzeniu szkołę. Usunięto z niej siostry i zabrano budynki. Wcześniej dokonano też likwidacji szkół zawodowych. Pozostał tylko kurs krawiecki, prowadzony do 1994 r.

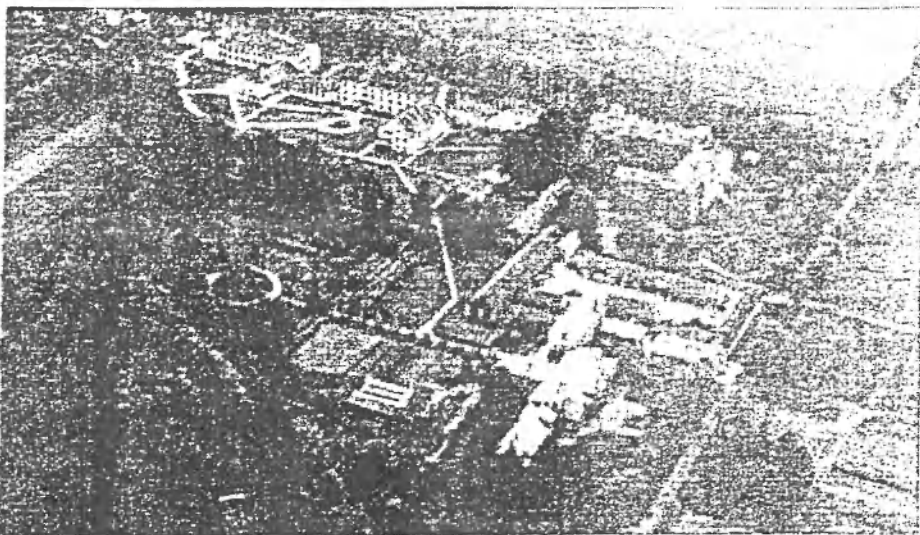
Mariówka pozostała jednak wierna swoim początkom. Istnieje tu nadal dom formacyjny i dom generalny. Formację nowicjacką i junioracką pobierają siostry nie tylko z Polski, ale także z krajów ościennych - Litwy, Łotwy i Białorusi. Mariówka jest sercem całego Zgromadzenia, jego dyspozycyjnym centrum.

Jest także miejscem formacji katolików świeckich, zorganizowanych w różnych grupach religijnych, m.in. takich jak: Rodziny Nazaretańskie czy Magnificat. Tutaj prowadzone są także rekolekcje dla dziewcząt. Po 38 latach przerwy Zgromadzenie powróciło do tradycji edukacyjnej w Mariówce. W 1992 r. otworzyło Prywatne Liceum Ogólnokształcące im. św. Królowej Jadwigi z internatem, w 1999 r. - Prywatne Gimnazjum Ogólnokształcące, a we wrześniu br. także szkołę podstawową.

Maria Wójcik



Figura Niepokalanej w ogrodzie



Mariówka z lotu ptaka

Fot. Archiwum



Bł. Honorat Koźmiński (1829 - 1916) założyciel
Zgromadzenia Sióstr Służek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanej